

2433.
CENA 20 GROSZY.

10% czystego zysku dla głodnych.

BÓJ O WARSZAWĘ



Wyjście rosjan z Warszawy.

WACŁAW POBÓG

BÓJ O WARSZAWĘ

Kartka z dziejów wojny Europejskiej, dotycząca operacji, mających na celu opanowanie Królestwa Polskiego przez sprzymierzone armje Niemieckie i Austrjackie i akcję wojenną przeciw Rosji.



NAKŁAD „KURJERA NARODOWEGO”
WARSZAWA, NOWOGRODZKA № 17.
1915.

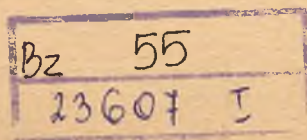
H II 602

23607
I



Geprüft und freigegeben Presseverwaltung.
Warschau den 18-ten XI. 1915.

DRUK. L. BILINSKIEGO I W. MAŚLANKIEWICZA. WARSZAWA. NOWOBRODZKA 17.



A 1025

30.000

B2 55
236071

Nieco dat.

Dnia 1-go sierpnia 1914 roku Niemcy wypowiedziały wojnę Rosji.

Oddziały wywiadowcze niemieckie niezwłocznie wkroczyły do Królestwa Polskiego, zajmując Sosnowice, Będzin i Kalisz. D. 6-go sierpnia Austria wypowiedziała wojnę Rosji. Wśród walk na pograniczu, w dniu 15 sierpnia wielki książę Mikołaj Mikołajewicz ogłasza odezwę do Polaków. D. 1-go września pogrom armii gen. Samsonowa, Martosa i Pesticza w Prusach Wschodnich przez Niemców. Dwa korpusy rozbite, częścią dostają się do niewoli. D. 3-go września generał Ruzski po zwyciężkich walkach z Austriakami zajmuje Lwów i Galicz. 22 września Jarosław, Przeworsk i Łańcut. 25 września zaś wkracza do Węgier przez przełęcz Użok.

Tymczasem na terenie Kongresówki dnia 28 września rozwijają się walki na linii — Osowiec, Druskieniki, Simno, Augustów i Kopciowo, d. 29 września pod Marjampolem,

Suwałkami i Sejnam, a w dniu 11 października rozpoczyna się z całą siłą ofensywa na drogach, wiodących do Warszawy.

13—19 października zawiera okres walk pod Warszawą i na południe od Przemyśla. D. 21 października zaznacza się cofaniem taktycznem armji niemieckiej z pod Warszawy. Walki na terenie Łowicz, Skierniewice—Rawa. 25 października: bitwa na froncie Rawa—Nowe Miasto—Białobrzegi. 26 października walki na drogach do Piotrkowa i Radomia. 29 października. Cofnięcie się wojsk niemieckich na froncie Wisły. W dniu 23 listopada świeże siły niemieckie ukazują się od strony Wielunia. 25 listopada bitwa pod Łodzią. 1 grudnia. Na lewym brzegu Wisły w obrębie Łowicza, Łodzi i Łasku rozwija się wielka bitwa. 7 grudnia cofnięcie się rosjan z pod Łodzi. 11 grudnia nowa bitwa pod Łowiczem. 16 grudnia walki nad Bzurą i Rawką. 23 grudnia walki pod Mławą. 24 grudnia atak Niemców w okręgu Sochaczew — Bolimów. 30 grudnia bitwa pod Małogoszczem. 1 stycznia 1915 r. Bitwa pod Rawą. 9 stycznia. Bitwa pod Mogiłami. 18 stycznia utarczki pod Konopkami, Radzanowem, Bieżuniem, Dobrzyniem, Wyszogrodem i Witkowicami. 1 luty bitwa w okręgu Borzymowa i Woli Szydłowieckiej. 11 lutego znaczne siły niemieckie przechodzą do natarcia w kierunku

kach Wyłkowyszki, Elk, Myszyniec — do Ostrołęki i pod Sierpcem nad Skrzno. 25 lutego bitwy pod Przasnyszem. 6 Marca bitwy nad Pilicą i nad Sanem. 10 marca bitwy w powiecie Suwalskim i pod Ossowcem. 22 marca upadek Przemyśla.

Bój o Warszawę.

Nad Bzurą i Rawką zapadły wreszcie oba walczące wojska w zbudowanych przez się okopach — by przetrwać zimę.

Zima w okopach...

Czyż można sobie wyobrazić coś więcej nużącego dla żołnierza, nad tę straszną konieczność siedzenia w okopie, który lada chwila może się stać widownią okropnej zagłady szeregu istot ludzkich, kryjących się w jego głębi.

Mróz, ślota, śnieg, wszystko, wszystko to składa się na jego cierpienie. Niemożność rozbierania się, kąpieli, zmiany bielizny, ba! trudność umycia się nawet, wszystko to wpływa na nastrój biedaka. A gdy kuchnia polowa opóźni swój przyjazd — brak ciepłej strawy denerwuje go w nadzwyczajny sposób. Nie reaguje wprawdzie, ale z ruchów i błysku oczu poznasz, co się w duszy jego przejawia.

Dyscyplina przecież robi swoje.

Żołnierz milczy i pełni swą powinność, oczekując zmiany.

Zmiana zaś — przynosi mu trzydniowy odpoczynek, możliwość zrobienia porządku koło siebie, świeżą bieliznę i uciechę korzystania z ogniska.

Po trzech dniach—znów wraca do okopu. Na poniewierkę i niekiedy—po śmierć.

Jeszcze pół biedy, jeśli oficerowie myślą o dobrobycie żołnierza w okopie. W rosyjskich okopach oficerowie tacy byli unikatami.

W większości wypadków takimi sprawami zajmowali się podoficerowie i feldfeble.

Oni, ci najbliżsi naczelnicy uwiecznionego w okopie żołnierza, najbardziej troszczyli się o jego dobro.

I tak przechodziły dni, tygodnie i miesiące.

Nad Bzurą i nad Rawką.

Od czasu do czasu ta lub owa strona próbowała natarcia, wtedy trup padał gęsto, a ci, którzy zostali przy życiu, uważali taki atak za rozgrzewkę.

I hartowali się.

Na miejsce poległych lub rannych towarzyszy przychodzili nowi i życie wlokło się swoją koleją.

Ale na flankach frontu, ciągnącego się niemal od Bałtyku aż do Karpatów, działało się nieco inaczej.

Tam wojska niemieckie i austriackie zaczęły działać niezmiernie intensywnie.

Wojska rosyjskie z Prus Wschodnich pod potężnem natarciem przeciwnika umknęły aż pod Kowno.

Suwalszczyzna, Przasnysz i Łomża po krwawych bojach wpadły w ręce niemieckie, a ruchliwa akoja zwyciężkiej armji, poparłszy ofensywę austriacką, w przeciągu sześciu tygodni oczyściła z inwazji rosyjskiej niemal całą Galicję.

Front centrum rosyjskiego zaczął się wobec tego chwiać.

Rosjanie porzucili pozycje pod Żyrardowem i Sochaczewem, cofając się na Błonie i Grodzisk.

Armja niemiecka ruszyła w ślad za ustępującym wrogiem.

Walki rozwinęły się na całym froncie.

Pod naciskiem natarcia rosjanie w lipcu paląc i niszcząc wszystko po drodze, cofnęli się ku Warszawie.

Krytyczne chwile w Grodzisku.

Przez dwa i pół tygodnia grzmot armat, tykotanie mitraljez i suchy trzask salw karabinowych nieprzerwanie szarpał nerwy mieszkańców Grodziska i płoszył im sen z powiek.

Po za tem łuny pożarów, wznieczanych

na dalszej, lub bliższej przestrzeni przyświecały mieszkańcom tego miasteczka od zmroku do świtu, przejmując zgrozą niebywałą. Byli oni jak gdyby w kole ognistem, a krąg ten ustawicznie zmniejszał się i zacieśniał.

Snadź niemcy atakowali, a rosjanie, jak zwykle „bohatersko“ ustępowali z pozycji na pozycję, rabując i niszcząc wszystko dokoła.

Trudno w takich chwilach myśleć o śnie.

Wobec tego większość mieszkańców wychodziła z domów i na podwórzach obserwowała ze drżeniem groźny widok.

A oto jakie fakty zdarzały się biednym, spokojnym ludziom.

Bandyci w mundurach.

Upřednio jeszcze komendant etapu wydał rozporządzenie, dotyczące właścicieli posesji, żeby bez jego zaświadczenia nikt nie ważył się przyjąć na nocleg żołnierzy, a to pod rygorem surowej odpowiedzialności grzywnien i więzienia.

Nakaz ten wydany został z powodu, że liczni dezterterzy z pozycji w ten właśnie sposób uchylali się od pełnienia obowiązków żołnierza i kryli się bezkarnie, wyzysskując w dodatku dobre serca nieświadomych obywateli.

Otóż pewnego dnia, opowiadał jeden z wła-

ścicieli willi, zgłosili się do naszego domu trzech żołnierze, żądając noclegu.

— Owszem — odpowiedziałem — ale przedewszystkiem proszę mi pokazać zaświadczenie komendanta!

— Ja тебе pokażu umniczatj! (ja ci pokażę, co to znaczy mędrkować). Dawaj nam komnaty i sałomy! Żywo!

— Dobrze, ale oświadczam wam, że w tej chwili idę do komendanta.

Rezolutny żołnierz stracił na minie.

— Tak, znaczyt, nie dasz komnaty?

— Owszem, dam, ale za zezwoleniem komendanta! — odparłem twardo.

— Nu, tak nie nado! — odrzekł bohater i dał znak żołnierzom-towarzyszom do odwrotu.

Na drugi dzień około godziny dziewiętej rano, pół rotę piechoty z chorążym na czele otoczyło nasz dom.

Chorąży w ostry sposób zakomunikował mi, że uważa mnie za szpiega niemieckiego, wobec czego zmuszony będzie zarządzić szczegółową rewizję w całej mojej posesji w poszukiwaniu tajnego telegrafu, lub telegrafu bez drutu.

Na jego rozkaz żołnierze weszli do wnętrza domu i zaczęli myszkować po nim, przewracając wszystko, jak to mówią, do góry nogami i badając wszystkie budynki od piwnie do strychów.

Rewizja trwała do godziny 2-ej po południu.

Rezultatem jej było znalezienie na górze zwoju drutu kolczastego, który sobie kupiłem w Warszawie już dość dawno, mając zamiar otoczyć nim ogród od strony pola, aby się zabezpieczyć przed wtargnięciem do niego krów sąsiadów, pilnowanych przez okrutnie psotnego pastucha.

Wojna przeszkodziła mi w uskutecznieniu tego planu, więc drut kolczasty leżał sobie na górze, czekając stosownej pory do urzeczywistnienia mego zamiaru.

— Wot i tielefonnaja prowołoka! — (Oto i drut telefoniczny), zdecydował z groźną miną chorąży.

Szczęściem, że zdołałem przez jednego z sąsiadów zawiadomić komendanta o gwałcie, jaki mię spotkał.

Przyjechał na koniu i odrazu wsiadł z góry na chorążego.

— Kto wam oddał prikaz proizwodztwa rewizji?! — huknął bez ogródek.

— Winowat, gaspadin kapitan! Dieło było nieotłagajemo, tri sołdatika zdiełali donos! — tłumaczył się chorąży, salutując z głupią miną.

— Ja etawo obywatielea znaju! On poriadocznyj czełowiek! Ja za niewo otwiczaju! Kak wy smieli bez mojewe razrieszenija! Poszli won odsiuda z waszeju połurotoju!

W pięć minut później ani jednego żołnierza nie było już w mojej posesji.

Byłem ocalony.

Tymczasem wypadki toczyły się swoją koleją z zawrotną szybkością.

Następstwem ich było spalenie wsi okolicznych i plonów, zburzenie stacji, oraz toru kolejowego, a przez ten czas wśród istnej orgji ognia, strzałów i wybuchów drżał dom, chwiały się budynki, dygotała ziemia.

Półtorej doby przesiedzieliśmy w piwnicy.

Wreszcie burza przewaliła się nad nami, kierując się w stronę Warszawy.

Do piwnicy wszedł ktoś i gwałtownie szarpnąwszy drzwiami, stanął z nastawionym bagnetem w progu lochu.

Tuż za nim stało dwóch innych ludzi w szarych mundurach.

Byli to Niemcy.

W Warszawie jednocześnie z tym stanem rzeczy zarządzono ewakuację instytucji rządowych i wszystkiego, co mogło mieć dla kogoś jakąkolwiek wartość. Więc nakazano rekwizycję metalów; maszyny fabryczne, kotły, ba całe fabryki polecono zabierać albo li „dobrowolnie“ „zmuszono“ właścicieli tych fabryk i zakładów przemysłowych do przeniesienia się w głąb Rosji wraz ze wszystkimi utensyljami.

W ostatnich dniach zajęto się zagrabieniem dzwonów z cerkwi i kościołów. Na

Saskim Placu operacja z jednym z dzwo-
nów się nie udała i kawał kolosa runął na
ziemię, wrywając się wgłąb niemal na całą
swoją wysokość.

Przypuszczano, że oddanie Warszawy na-
stąpi w sobotę, a ono nastąpiło we czwar-
tek o bardzo ранней porze.

Ztąd zamieszanie.

Pociągi, napelnione zrabowanemi bogac-
twami z Warszawy odchodziły niemal bez
ustanku. Zabrano wszystko z Zamku Kró-
lewskiego, z Łazienek, Belwederu. Okradzio-
no bibliotekę uniwersytecką, gabinet zoolo-
giczny, politechnikę. Wysadzono w powie-
trze, czego nie zdołano zagrabić.

Wieczorami Warszawa zaczęła świecić
niezdowym blaskiem łun pożarowych.

Grzmot armat z okolicy dolatywał tutaj
z wciąż rosnącą potęgą. Snadź „bohater-
skie“ wojska rosyjskie odchodziły na nowe,
zawczasu upatrzone pozycje.

A pod miastem działały się rzeczy nad-
zwyczajne.

Łuny pożarów oświecały nocami wszyst-
ko dokoła. We dnie zato dymy, jak mgła
gęste, spowijały szarym całunem okolice,
zaś z tego całunu liczne wybuchy wskazy-
wały, że coś więcej się tam wytwarza, niż
wykły bój.

Grzmot armat, tykotanie kartaczownic,

łoskot karabinowych strzałów zagłuszały od czasu do czasu okropne wybuchy.

— Trraach! Trraaaaach!!

To leciały do góry podsadzone kominy fabryk i gmachy, mogące służyć przeciwnikowi za ukrycie przed ogniem ustępujących „bohaterów“.

A „bohaterowie“ dawali folgę przyrodzonym zdolnościom.

Rabowali, gwałcili, znęcali się nad grabionym inwentarzem żywym, wypędzali ludność, polecając jej iść, dokąd oczy poniosą, byle na wschód, dalej i dalej.

Po zburzonym torze.

Po zajęciu Warszawy przez wojska niemieckie wybrałem się w dniu 7-ym sierpnia z Pruszkowa, by na własne oczy przekonać się, jakie straty poniósł gród syreni z okazji wyjścia „braci słowian“ na drugi brzeg Wisły, „w celu odgrodzenia się od nazbyt natarczywego ataku wroga“. Przechodząc przez Żbików—z dziwnem uczuciem oglądałem dymiące jeszcze zgliszcza warsztatów kolejowych z cudem niemal ocalałym budynkiem kantoru i domem mieszkalnym t. zw. „Pohulanką“.

Z tamtej właśnie, lewej, licząc od Pruszkowa, strony plantu, Żbików ucierpiał najbardziej, gdyż wtedy przeszedł

orkan bitwy, na szczęście niedługotrwałej. Stodoły, a przy okazji — wiele budynków w okolicy uległo zniszczeniu.

Oddziały podpalaczy tu i owdzie nie spaliły niektórych budowli, gdyż właściciele ich opłacali im się haraczem pięciu, dziesięciu a nawet 25-cio rublowym. Na planicie kolei, w wielu miejscach zrujnowanym przez naboje dynamitowe, dopędzili mię trzech gospodarze, spieszący do Warszawy po swe rodziny.

Zawiązała się między nami rozmowa. Jeden z gospodarzy był z Nowej Wsi z za Pruszkowa, dwaj inni ze wsi Granica, leżącej w odległości mniej więcej trzy czwarte wiorsty od poprzedniej.

Opowieść pokrzywdzonych.

— Gdy przyszli podpalacze — mówił gospodarz z Nowej Wsi — prosiliśmy ich niemal ze łzami, aby poniechali dzieła zniszczenia.

Odpowiedzieli nam obelgami i zaczęli swą czynność od podpalenia stodoły, której właściciel był nieobecny.

Szczęście, że wiatru nie było, więc ogień buchnął w górę, rozrzucając snopy iskier i żagwi dokoła, nie na dachy jednak innych budynków, bo te były zbyt oddalone. Ale

od innej zapalanej stodoły zajęła się chałupa i całe obejście.

Przerażony — odważyłem się podejść do podoficera, narażając się na groźne zamachy nahażki i zaproponowałem mu, że oddam mu całą posiadaną gotówkę, byle mojej stodoły nie kazał podpalić.

— „Nu, ładno! Dawaj dieńgi, a tam posmotrym, czto udastsa zdiełať!” Dałem mu dziesięć rubli.

— „A bolsze nie imiejesz, germanski sojuznik?” — zapytał podejrzliwie.

— Nie mam! Przysięgam Bogu! — odpowiedziałem.

Wziął pieniądze i schowawszy je do portmonetki, wskazał swym siepaczom stodołę po drugiej stronie ulicy stojącą.

— „Etu zażgi!” (tę zapal!) — rozkazał. Znów buchnął płomień.

Potwór ze zjadliwym uśmiechem zwrócił się ku mnie.

— „Nu, ty spokojen! Idi w swoju chałtu!” Usłuchałem nędznika.

* * *

W kilka chwil później, gdym wyrzwał przez okno, zobaczyłem dwóch żołnierzy, podchodzących ku mojej stodole.

— Otworzyłem okno.

— To moja! To moja! — krzyknąłem.

— Nie zapalajcie jej! Ja za to zapłaciłem!

— „Ach ty, szpionskaja morda“! — zawołał jeden ze zbirów: — tyś nam zapłacił?

Zapłaciłeś „untieru“, (podoficerowi) nie nam! On też cię oszczędził.

— Na Boga! Dam wam zegarek, tylko mi nie róbcie krzywdy! — jęknąłem.

— Nu, dawaj czasy! Tylko skoro!

Za cenę srebrnego zegarka więc — ocaliłem poraz drugi moją własność od zniszczenia.

Poszli sobie dalej, Bogu dzięki i tak jakoś udało się ujść ruiny.

Ale roboty było huk, bo przez parę godzin później zalewałem wodą z wiadra iskry i żagwie, które na obejście moje padały.

Cud, że się obroniłem!

W Granicy.

— A nas w Granicy zrabowano doszczętnie!

Zabrali nam wieprzaka i konia, zabrali pieniądze, — skarżyli się dwaj włościanie.

— Stodół naszych nie podpalili wprawdzie, bo były puste, ale żyto w kopach spalili doszczętnie. Leżało na polu. Za to inne stodoły i kilka chałup poszło z dymem! Na Boga! Jak wrócą ci, którzy uciekli, nie poznają się ze swoim obejściem! Pójdą z torbami!

Tak to opowiadali biedni kmiotkowie, a z oczu ich przeziierała głucha zawziętość

przeciw krzywdzicielom, którzy przez rok niemal udawali naszych przyjaciół, by ostatecznie w tak straszny sposób zawieść pokładane w nich zaufanie.

Przypadkowe spotkanie.

Na stacji Włochy usiadłem na jednej z pozostawionych przez grabicieli w popłochu ławek stacyjnych, by odpocząć nieco. W tej samej niemal chwili nadeszło parę osób od strony Warszawy.

Jeden z nich, starzec o sumiastym wąsie, zbliżył się do mnie.

Wziął mnie widocznie za miejscowego, bo zapytał, gdzieby tu we Włochach można było kupić papierosów, gdyż wychodząc z Warszawy, nie mógł się w nie zaopatrzyć, z powodu zbyt wczesnego ranka.

Poczęstowałem go cygarem i zacząłem wypytywać się o Warszawę.

Udzielał chętnie informacji a w końcu zaczął mi opowiadać swoje bolączki. Przy wzmiance o wojskach rosyjskich wybuchnął niekłamanem oburzeniem.

— Panie! — zawołał. To dzikie zwierzęta! Niech pan posłucha, co mnie od nich spotkało!

Mam posiadłość w Ch. pod Grodziskiem. Nie dawniej, jak trzy tygodnie temu, pragnąc

się przekonać, co się tam dzieje, wyruszyłem piechotą do Chrzanowa.

Jestem na służbie państwowej.

Spodziewałem się tedy, że dotrę bez trudu do Ch., mimo, że wiedziałem, że łańcuch rezerw stoi mi na drodze.

Dowody osobiste przecież miałem w porządku. Tymczasem niedochodząc do Ch., zostałem zatrzymany i odprowadzony do dyżurnego oficera.

Był nim jakiś młody chorąży zapasu. Panie! Co ten człowiek ze mną wyprawiał! Mimo pokazanych dowodów zwymyślał mię, jak psa! Sponiewierał moralnie i fizycznie! Groził różgami i stryczkiem, aż wreszcie, wyburzywszy się w ten niehumaniczny sposób, przepędził mnie w stronę Warszawy, grożąc bezwarunkowo stryczkiem, jeśli poraz drugi wpadnę w jego ręce!

Długą chwilę jeszcze rozmawialiśmy o kulturalności „naszych przyjaciół“, aż przy pożegnaniu zarekomendowałem się sympatycznemu rozmówcy.

— A moje nazwisko — Wołkow! — powiedział z pewnem zmieszaniem!

— Wołkow, panie, ale jestem Polakiem, bom się tu urodził i tu przeżyłem lat kilkadziesiąt!

— Och, panie — odrzekłem z uśmiechem, ściskając go za rękę: — przecież i wśród Moskali mogą się czasami trafić porządni ludzie!

Po tych słowach rozstaliśmy się, udając każdy w swoją drogę.

Wobec tragicznych wypadków na flankach, spieszono „wyrównać” front aż na linii Brześcia. Tymczasem zaś Rosjanie starali się stawiać jeszcze czoło natarciu na linii Wisły. Twierdze Dęblin i Modlin stanowiły mocne pozycje, których bądź co bądź, należało jeszcze bronić.

Ale los Warszawy był już zdecydowany.

Cofające się siły rosyjskie z pozycji Pruszków—Ożarów, weszły do stolicy Polski.

A z prawego brzegu Wisły w bok im zachodziły od Pułtuska oddziały niemieckie, napierające już na Radzymin.

Wobec tego w nocy z dnia 4-go na 5-ty Sierpnia, wojska rosyjskie ustąpiły z Warszawy, wysadzając za sobą mosty.

Przez cały czas głównym wrogiem żołnierza rosyjskiego była własna jego intendtura.

Brak nabojów do karabinów, brak pocisków do armat był na porządku dziennym, doprowadzając do rozpaczki walczących, sprowadzając głośnie nieraz wyrazy niezadowolenia i upadek ducha, który demonstrował się często z wydarzającym oddawaniem się do niewoli całych nieraz rot i bataljonów.

Wojsko szemrało.

Zajęcie Warszawy. (Noc przełomowa).

Od mieszkańców Warszawy można było otrzymać mniej więcej jednakowe informacje, które brzmiały w ten sposób:

Wszyscyśmy czuli, mówi jeden ze znajomych, że zbliżają się ostatnie chwile panowania rosyjskiego w stolicy naszej. Odgłosy strzałów najbardziej dochodziły nas od strony Belwederu i Mołotowa, tam też udałem się, żeby przy huku armat pomyśleć o nagłym zwrocie w losach kraju i szego i całego narodu polskiego, żeby rozkoszować się hukiem armat, zwiastujących przełom w naszym życiu.

Siedliśmy w kilku na balkonie, wychodzącym na pole Mokotowskie i nasłuchiwaliliśmy, co mówią działa, patrząc na groźny teatr bitwy

Przed naszymi oczyma raz po raz strzelał w górę słup ognia. To rosjanie, pragnący przed opuszczeniem zniweczyć kraj doszczętnie, podpalali, co mogli. Resztę pożarów wzniewały wybuchy pocisków. Wkrótce całe niebo pokryło się łuną. Myśleliśmy, że to tylko płoną okolice na zachód Warszawy. Nie, płonęło zarazem i nasze stare, pamiętne przedmieście, Praga.

Ale oto pociski wzmagają się, czuć, że są

coraz bliższe i celniejsze, a odpowiedź na nie coraz słabsza, znać Rosja pod Warszawą dogorywa. Po chwili słychać ogromny świst, przeszywający powietrze—to granat. Zda się, że pada tuż przed domem. Nie jeszcze. Wtem ryczy i świszcze drugi i trzeci. Godzina 9 min. 45—pada czwarty i wybucha zaraz za torem wyścigowym. Konnica rosyjska ucieka. Huk działowy słabnie. Słychać tylko warczenie kartaczownic. Jeszcze czas jakiś upłynął — grzmi ogień karabinowy. Katastrofa dla wojska rosyjskiego widoczna.

Godzina 10 $\frac{1}{2}$ — ciągną przez Polną wozy z amunicją. Dziwimy się, po co. Tak jesteśmy pewni, że to ostatnie chwile bitwy, że nie lękamy się nawet rozporządzenia policji, wprowadzonego zresztą w życie, — a mianowicie zamknięcia bram i niewypuszczania nikogo. Wiemy, do czego zdążają ustępujące władze, one chcą wyłować ludność pomiędzy 18 a 45 rokiem życia. Nie udało się. Rano dowiedzieliśmy się, że policja próbowała w paru miejscach zrobić tę osobliwą branke, lecz bez powodzenia. Nie udało się, bo oto wozy owe zdołały dojść jedynie do zmykających już armat. Ciągnęły przez pole Mokotowskie, poza torem wyścigowym cicho pomiędzy murawą, aż zatętniły głośno w pobliżu Politechniki na bruku i pomknęły dalej ku Pradze.

Naraz słychać tentent koni i śpiewy. To

nasz „najserdeczniejszy” grabieżcy i podpala-
cze, drodzy kozacy. Jechało ich pół sotni, śpie-
wając, choć woleliby zapewne pohulać na od-
chodnem, jeno czasu nie starczyło. Kręcili się
tam i z powrotem, wreszcie ciemna noc po-
chłonęła ich. Widać tylko pękające i jakby
krzyżujące się szrapnele.

Znużony bezsennością, gdyż od 4-ch dni
prawie nie spałem — zasnąłem. Po paru go-
dzinach budzę się. Cisza. Na rogu stoi nasza
milicja. Słychać rozmowy stróżów. Już są pod-
jazdy ot tu na polu Mokotowskiem. W tem
ogłuszający trzask. To most. Potem drugi,
trzeci i czwarty.

Więc już „ich” niema, więc zaczyna się
nowa era w życiu polskiem, boć przecież War-
szawa przemówi i da impuls do nowego od-
radzania się, choć tak wydaje się być skar-
łałą. I to wszystko uczyniła noc jedna. Szczę-
śliwi, co taką noc przeżyli.

Chwila skupienia się w sobie, ciche wes-
tchnienie ku jaśniejszej przyszłości i oto ubie-
ram się i biegnę na miasto. Przed bramą każ-
dego domu, przed każdym sklepikiem małe
sejmiaki, wróżby, prognostyki, złorzeczenia dla
tych, co nas tak doszczętnie w ciągu paru
miesięcy zrujnowali. Idę dalej do Mokotowa.
Stoi konnica niemiecka.

„Nie wchodzimy—objaśnia nas jakiś Po-
lak z armji niemieckiej—bo musimy ściąg-

nać armaty, żeby się te „wasze Moskale“ bały“.

Spotykam znajomego, znanego w kraju bankowca. Idzie z synem oglądać miasto. Zwyczajny uścisk dłoni nie wystarcza na dziś. Rzucający się w objęcia.

W Mokotowie dowiadujemy się, że odchodząca armja rosyjska zdołała pochwycić jeszcze kilkuset ludzi, zagarnęła ich z sobą na nędzę i poniewierkę.

* * *

Mnóstwo ciekawych epizodów opowiadali mi później naoczni świadkowie tych pamiętnych chwil.

Był świt.

Do dorożki, stojącej przed Brystolem, podszedł z walizką w ręku oficer rosyjski, zapinając się po drodze.

— Na Brestskij wogzał! Żiwo! — rozkazał niedbale, rozsiadając się na poduszkach.

Dorożkarz nie ruszył się z miejsca.

— Czewoż ty źdioż, sukinsyn! — huknął oficer. — Wali poskorieje, kogda tiebie prikazywajut!

— Nie pojade! — odrzekł z flegmą automedon. Minęły te czasy, kiedym woził takich panów! A z sukinsynem to ostrożnie, żebym czego nie przyłożył! — Dodał groźnie, odwracając bat rękojęścią nazewnątrz.

Przy dorożce zebrał się tłum ludzi.

Oficer chciał wybuchnąć, ale widząc groźną postawę dorożkarza i tłumu, zmieknął, zeskoczył z dorożki i ruszył pieszo w stronę mostu.

Gdzieśindziej — oficerowie, bawiący się w wesołym towarzystwie w gabinetach restauracyjnych, zorjentowali się w sytuacji wejścia wojsk nieprzyjacielskich do miasta w chwili, gdy mosty jeden po drugim zostały wysadzone. Próżno biedacy, szukali dróg ratunku. Wreszcie widząc, że wszystko stracone, poddali się z konieczności losowi, mówiąc:

— Nu, naplewatj! tak i pojdiom w plen!

Trafiały się inne, komiczniejsze zdarzenia. Gdy oddziały niemieckie, zajmąwszy Warszawę, przechodziły przez Aleje, Nowy Świat i Krakowskie Przedmieście, z drugorzędnych hotelików tu i owdzie wysunęli się zaspani jeszcze oficerowie i wpadali właśnie w ręce niemieckich żołnierzy, zdziwieni niespodzianym spotkaniem.

